

OD OSWIECIMIA DO BERGEN BELSEN 1943 - 1945.

Kwiecień, rok 1943, godzina 4-ta rano. Zbudził mnie ruch i szepty sąsiadów. Za chwilę pukanie do drzwi: "Pani, Niemcy są, otaczają las." Zerwałam się na równe nogi.. Wiec przyszli, przeczucia mnie nie myliły. Od pewnego czasu czułam podświadomie, że spotka nas nieszczęście.

Spojrzałam w okno i oniemiałam. O kilkaset metrów od naszej chatki las gęsto otoczony, tyraliera, aż sino od mundurów. Boże, już po nas, co będzie.

Leszek zerwał się z pryczy, ubrawszy się piorunem biegł do chłopców, którzy w chatce nad wodą spali spokojnie, mając przy sobie karabiny. Pobiegł, wyrzalam za nim, sadił olbrzymimi susami w obawie o zagrożonych kolegów i brata. Niemcy go dojrżeli, w ślad za nim poleciało parę kulek. Czekamy co dalej. Nie wiem, co robić. Bożence nie każe wstawać. Myśle, że jako chora może nie zaaresztują. Sama palę niektóre papiery.

Wkrótce widzimy chłopców otoczonych. Prowadzą ich koło chaty, zatrzymują się, podajemy im legitymacje i bochenek chleba. Niemcy uspakajają, że zaraz ich puszcza, tylko wylegitymują. Wiem, że mają legitymacje i dowody pracy, ale nie wierzę w ich powrót..

Za chwilę przychodzi wojskowy w mundurze niemieckim - Rosjanin. Zwraca się do mnie z wyrazem współczucia w oczach i mówi: "Pani, źle z wami, w chatce nad rzeką znaleziono broń, chatę podpalono." Truchleję, czekam odgłosów wybuchu. Wiem, że były tam zakopane granaty i proch. Widzę płomień, nie słysząc nic. Poszli po chłopców, wracają z nimi, stoją koło chaty. Ktoś zdradził miejsce zakopanej broni. Kopią ogródek, ryją w grządkach pracowicie obsianych, znaleźli. Wyglądam przez okno, na co wrzeszczy Niemiec. Cofam się, łzy mam w oczach. Nasza chluba, karabiny piękne, błyszczące, przez tyle nocy troskliwie przez całą naszą gromadkę czyszczone, naoliwione, dmuchane, z takim trudem przez Leszka ściągane w nocnych wędrówkach dalekich i pełnych niebezpieczeństw, dziś w rękach naszych oprawców. Wiem, co nas czeka. Mnie i chłopców rozstrzelanie. Może Bożenka ze względu na wiek ocaleje. Wychodzimy przed dom. Chłopców prowadzą do stodoły, słyszymy kilka strzałów, już po nich. Wracamy do chaty, Bożenka idzie do łóżka, ja jestem skamieniała. Chłopców już niema, mnie już wszystko jedno. Czekamy, wpada komisarz z pomocnikiem, rewidują chatę, nam każą wyjść. i czekać na dworze. Tłumaczę, że córka chora. Nic ich nie obchodzi, wstawac i won. Sięgam po palto, nie daje, ale chwytam dwa i uciekam na dwór, po drodze chwytając Zulcię (Pinczerka) pod pachę. Skonczyli rewizję, wychodzą, każą iść naprzód, oni za nami. Zulę zostawiam na środku podwórza. Oglądam się, siedzi mała biała kulka, czarne oczka

pełne łez, boi się ruszyć.

Idziemy w stronę lasu, za nami repetują karabiny. Mówię do Bożenki: "Zmów pacierz, to nasze ostatnie chwile, rozstrzelają nas tak, jak chłopców." Idziemy z głowami podniesionymi do góry. Patrzę na Bożenkę. Podziwiam jej hart. Spokojna i opanowana, szepcze drżącymi wargami cichutko: "Zal mi, że nie zobaczę Tatusia." Zatrzymują nas, czekamy obrócone tyłem. Słychać szczęk karabinów, znów nic. "Weiter," idziemy. Komedie te powtarzają się kilkakrotnie aż wkraczamy na jakieś podwórko. Pełno aresztowanych, patrzę i nie wierzę swoim oczom - chłopcy są, żyją, siedzą na ziemi pod ścianą stodoły z powiazanymi do tyłu rękami. Posyłam im spojrzenie pełne miłości. Ukochani moi chłopcy żyją, ale co ich czeka - męczarnia, tortury. Kto wie czy nie lepsza śmierć, jednak lżej mi na duszy, że ich widzę. Ustawiamy się w szereg, staram się stanąć przy Bożence, za co dostaję pięścią w kark. Oglądam się na chłopców. Siedzą jeszcze pod ścianą. Spotykam spojrzenie Leszka, pełne rozpacz. Szczęście, że był związany, napewno rzuciłby się na żołdaka, który mnie okładał pięściami. Uśmiecham się do Leszka i lekko potrząsam głową, chcąc mu powiedzieć, że to nie, głupstwo...

Stoimy, szeregi wciąż się zwiększają, przybywają wciąż nowi aresztowani. Widzimy kolegę chłopców bardzo przez nas lubianego Bodzia - obmywa twarz przy studni, cały pokrwawiony. Ruszamy kłusem przez las do stacji, cały czas pędzimy. Niemcy boją się partyzantów. Ja gonię ostatkiem sił na samym końcu. Dopadamy do stacji w Grabowie, przy której już stoi pociąg towarowy. Wchodzimy do wagonów. Ja z Bożenka, jest Jurek, Leszek w innym wagonie. Siadamy zmęczone i odepiałe na ziemi. Pociąg rusza, przytulamy się do siebie. Modłę się, myśleć nie mogę, tylko wciąż powtarzam: "Boże, ulituj się nad nami."

Cały dzień jedliśmy do Radomia i spowrotem. W ciągu dnia obawiają się wprowadzić nas do miasta. Jest nas dużo, około 150 osób. Wracamy do Grabowa i znów do Radomia aż do zmierzchu. Wreszcie wychodzimy, wyprowadzają nas na podwórze, stajemy piątkami twarzą do ściany. Ja z Bożenka, przedemną Leszek.

Mężczyźni mają związane ręce do tyłu. Głaszczę ręce Leszka, są wolne, nie skrupowane. Trzyma je w tyle, sciska mi rękę i mówi: "Mamus, będę uciekał." Daj ci Boże szczęście, synku, uciekaj szczęśliwie. Mówię Bożence: "Pozegnaj go, będzie uciekał." Nieznacznie przytuliła się do niego. Za chwilę biorą pojedynczo na górę spisywać personalia. Kolej na Leszka. Modłę się, Bożenka też, czekamy z biciem serca. Nagle słychać strzały, jeden, drugi, trzeci, tupot nóg, krzyki, Boże, Boże, czy uciekł, czy go nie trafili. Jednak przeczucie mi mówi, że się

powiodło. Za chwilę wracają gestapowcy, straż zwiększona, pilnują więcej. Idzie Bożenka, za chwilę ja stoję przed biurkiem gestapowca i podaję nazwisko, na co słysze: "Aha!" Myślę co znaczy to "aha". Teraz wiem, że znaczyło to matkę tego, co uciekł (na którym najwięcej im zależało, bo uważali go za przywódcę).

Idę do drugiego pokoju. Jest Bożenka, pozwolono nam usiąść.. Mężczyźni klęczą z rękoma do tyłu.. Widok straszny, twarze zmęczone, zmaltrretowane, posiniaczone, ze śladami krwi. Robi mi się słabo, proszę o wodę. "Nie wolno" - krzyczy gestapowiec. Drugi kłóci się z nim i podaje mi, wypijam i przychodzę do siebie. Za chwilę prowadzą Jurka, zmęczony, mizerny, włosy zakrywają mu oczy. Chcę wstać do niego, nie wolno - krzyczą. Przechodzi, uśmiecha się do nas. Wzięli go do lochów. Idziemy na dół, pchają nas do auta, jedziemy do drugiego więzienia. Wsiadamy, znów piątki i marsz do celi. Były tylko razem - modłę się.. W tej chwili zatrzymuje nas żandarm, wskazuje na Bożenkę "Ona zostaje z nami". Mnie każe iść na górę.. Patrzę na Bożenkę, obłędny strach w oczach, żegnamy się. Idę na górę półprzytomna. Nie mogę pojąć, poco ją zatrzymał, skoro inne matki są z córkami. (teraz wiem, że mnie tam traktowano najsurowiej). W korytarzu znów personalia, rewizja, zabrano wszystko, co miałam, innym pozostawili coś nie coś. Idę do celi, duża sala, dawna kaplica, widzę na ścianach pełno krzyży. Kobiet dużo, około 40-tu. Siadam osłupiała. Pytają o to i owo, nic nie wiem, tylko powtarzam jak nieprzytomna: "Córke mi wzięli, co z nią zrobią, takie dziecko. Dlaczego powiedział - ona z nami zostaje." Panie uspakajają mnie, że na dole jest lepsze więzienie, ją tam wzięli, bo jest małoletnia, nic się jej nie stanie. Trochę uspokojona kładę się na siennik i zasypiam kamiennym snem.

4:30 rano, budzi nas wołanie w drzwiach. Wstajemy, obowiązkowe mycie od stóp do głów, w małych miedniczках zimną wodą. Pilnuje starsza celi, głupio się czuję, ohnając się całkowicie w obecności 40-tu kobiet. Myślę o Bożence, znając jej wstydlivość. Wyobrażam sobie co przeżywa biedne dziecko.

Idziemy gromadą do ubikacji. Odprowadza nas "dzielny" gestapowiec z karabinem maszynowym, wycelowanym w 40 bezbronnych i znękanymi kobietami. Wracamy w tym samym porządku - sprzątanie w celi, zwijanie sienników, z których tworzymy dookoła ścian rodzaj tapczanów. Potem pijemy kawę czarną, gorzką i kawałek suchego chleba. Jemy nerwowo, zbliża się chwila badań, pytanie kto dziś pójdzie i w jakim stanie wróci.

Słychać szcęk kluczy. Otwierają celę, wpada kilku gestapowców, wyczytuje nazwiska. Wywołane błędnie, wychodzą z celi popędzane. Za drzwiami słychać szcęk kajdan, idą mężczyźni; "loos, loos," za chwilę auto rusza - cisza.

Siadamy na siennikach i zaczynamy modlitwę. O tej porze zawsze się modlimy za badanych, aby Bóg dał im siły do wytrwania. Śpiewamy półgłosem pieśni religijne. Chór jest piękny. Właściwie nie wolno nam śpiewać, ale nasi "opiekunowie" udają, że nie słyszą, choć wiemy, że słuchają pod drzwiami, bo śpiew nasz bardzo im się podoba. Ja modlę się całą duszą, twarz mam zalaną łzami. Błagam o ratunek i zapytuję, za co nas tak Bóg doświadczył.

Przed oczyma przesuwają mi się życie nasze w ukochanych Marynkach nad Pilicą. Widzę Leszka, pełnego oddania i zapału, po całych nocach wędrującego po błocie, śniegu i wodzie w nigdy nie schnących butach, przemykającego się koło placówek niemieckich, z granatami na plecach i karabinem pod peleryną.

Widzę Jurka, oczekującego w nocy na przewozie wśród deszczu, zimna, tkwiącego tam w ciemnościach, by przewieźć Leszka lub kolegów z bronią i granatami. Widzę Bożenkę, to dziecko, po całych dniach obszywającą naszych chłopców, gdyż ubrania wciąż są w strzępach po nocnych wędrowkach.

Widzę siebie w nieustannej męce oczekiwania i w ustawicznej trwodze, czy wróci, czy się co nie stało, w ciągłym pogotowiu, aby tych chłopców ogrzać i напоić, bo znów ruszą dalej. Widzę nas wszystkich razem przy stole, przy czyszczeniu broni i naboju. Chłopcy czynią to beztrwosko, śmiejąc się i ciesząc zdobyczą, ja patrzę na te głowy pochylone przy pracy moich dzieci i ich kolegów, którzy też są mi drodzy. Spoglądam z niepokojem w zasłonięte okno i uciskam ich głosy.

Słyszę słowa moich chłopców: "Mamus, ty zawsze się niepokoisz, a nie ma powodu." A jednak był powód, bo był zdrajca z nami, którego oczka małe i chytne nie wzbudzały we mnie zaufania, mój instynkt i tym razem mnie nie zawiodł. Niestety, wołałabym się mylić. Ocknęłam się, modlitwa skończona. Otwierają się drzwi, wpuszczają nowych aresztowanych. Są z naszej wsi. Zapytuję o Leszka, jest na wolności, był w domu i ukrywał się. Radość szalona napęłnia mi serce. Bogu dziękuję, że Leszek ocalał. Myślę, że Bożenkę zwolnią jako małoletnią (tak mi wszyscy mówią). Staję w oknie, posyłam wzrok dziękczynny ku niebu. Okno nasze za grubą kratą, zabite deskami, widać niebo i od dołu kawałek podwórza. Właśnie wychodzą aresztantki z dołu na spacer. Jest Bożenka, nieznacznie spogląda w górę, kiwam jej ręką, posyłam całusa. W ten sposób porozumiewamy się codziennie. Bożenka jest w lepszych warunkach. Jest pod dozorem polskich strażniczek, tam dostają paczki indywidualne, spacer co dzień. Ja jestem w oddziale czwartym, pod najstraszniejszym gestapo w Radomiu, sławnym z okrucieństwa na całą Polskę. Wobec powyższego jestem zadowolona, że Bożenki tu nie ma i o sobie nie myślę zanadto. Jestem prze-

jęta moimi dziećmi. Żal mi ich młodości. Odsuwam smutne myśli, bo czuję, że jestem bliska obłądu, do tego jeszcze nie wolno palić, bo za to jest bicie po twarzy. Chodzę po celi, żeby opanować rozpacz. Cela jest wielka, trochę się uspakałam.

Trzeciego dnia przy wywoływaniu na badania, pada moje nazwisko. Zrywam się, czuje, że krew ze mnie ucieka, strach, okropny strach przenika mnie nawskroś. Napozór spokojna schodzę na dół. Pakują nas do auta, bijąc i popychając. Kłęczymy z głowami pochylonymi, aby nas z zewnątrz nie widziano. Za nami siadają gestapowcy i kto głowę podniesie, dostaje kańczugiem. Wsiadamy, w piwnicy poczekalnia, dookoła w lochach cele, w jednej z nich przypuszczalnie jest Jurek. Zagłębiając się cała w rozmyślaniami, myślę jak straszne jest to więzienie dla mego Jurka, który tak bardzo kochał przyrodę, zamknięty w ponurej celi z małym okienkiem zamalowanym, ~~by~~ by nie widział zieleni i kwiatów, których tu pełno.

Boże, daj mi wytrwać, modłę się w duszy. Napewno go torturują, a dziś będą mnie. Długie godziny wyczekiwania. Przez ten czas odprowadzają mężczyzn po badaniu, niektórzy zbici, pokrwawieni i opuchnięci, padają na ziemię. Chcemy im dać wody, ale nie wolno. Zalewamy się łzami, patrząc na ich mękę.

Wołają mnie. Idę na drugie piętro, odmawiam "Pod Twoją obronę". Przy biurku siedzi gestapowiec, który nas aresztował, obok tłumacz. Siadam, zapytuje, czy znam niemiecki. Odpowiadam, że nie. Zaczyna się badanie, mam czas do namysłu nad każdym zapytaniem. Rozumiem, co on mówi, i zanim przetłumaczy mi tłumacz, mam odpowiedź przygotowaną.

Badanie trwa parę godzin. Chcą mnie zmusić do przyznania się do brania udziału w organizacji i żądają nazwisk. Wypieram się, twierdząc, że tak, jak niemieckie kobiety, zajmowałam się kościołem, dziećmi i kuchnią, reszta mnie nie obchodziła. Na to słyszę odpowiedź: "To nieprawda, jest pani za inteligentna na to i doskonale się pani broni, zresztą całkiem niepotrzebnie. Nic pani nie grozi, o ile nam pani ofiaruje swą współpracę, wraz ze swymi synami, którzy są bardzo dzielni". Na tę propozycję odpowiedziałam tylko spojrzeniem. Musiało być wymowne, skoro je gestapowiec zrozumiał i zauważył tylko, że "aresztując panią od razu poznałem, że będę miał z panią ciężki orzech do zgryzienia, no, ale teraz pogadamy inaczej". Po czym przyszedł jeszcze jeden z kańczugami i zaczęto mnie bić.

Bito mnie systematycznie, miarowo, na zmianę uderzał mnie jeden, potem drugi i trzeci. Ból straszny, niesamowity (wobec którego wszelkie bóle porodowe są niczem) przejął mnie nawskroś. Popatrzyłam w okno, chciałam wyskoczyć, by skrócić mękę,

ale zauważyli, zamknęli okno i bili dalej, od karku do nóg, po głowie, z przodu od pasa do kolan i ręce, które puchły i spływały krwią. Bili rzemieniami, zakonczonymi kulkami ołowiu.

Pot się lał z ich twarzy strumieniem, a ja mdlałam. Oblewali mnie wodą i znowu bili. Byłam już półprzytomna. Na pytania: "Powiesz nazwiska?" - szeptałam "Nie" i straciłam przytomność. Wypchnęli mnie za drzwi, obiecując, że następnym razem oprócz bicia, poznam tortury. Gestapowiec włókł mnie po schodach, Trzymając mnie za kołnierz, "cucąc" kulakami. W piwnicy rzucił mnie półprzytomną na łóżko, gdzie znów zemdlałam. Powrotna droga do więzienia była straszna. Widząc mnie półprzytomną, popędzali mnie jeszcze bardziej. Jak dojechałam do więzienia, sama nie wiem. W drodze, w chwilach przytomności, widziałam twarz jakiejś więźniarki, zalaną łzami. Trzymała mnie w objęciach, poznałam ją, że jest w celi Bożenki. Szepnęłam: "Proszę nie mówić nic córce".

Wysiadamy. Schodzę przy pomocy dziewcząt i modłę się, żeby nie zemdleć, bo mnie tu zabiją. Niestety, mdleję w korytarzu. Muszą zdejmować kajdany mężczyznom i ci biedacy, sami ledwie żywi, zanoszą mnie na drugie piętro. W celi jest lekarka, aresztowana z nami, zaopiekowała się mną serdecznie i po godzinie otworzyłam oczy i widzę dookoła siebie twarze zalane łzami. Robiono mi okłady, cała byłam czarna i spuchnięta. Na drugi dzień mieniałam się wszystkimi kolorami tęczy, bo poza kolorem czarnym i sinym, byłam cała żółta, bo dostałam żółtaczkę, co podobno jest zwykłą reakcją po biciu. Więźniarki, które były już w więzieniu dłużej czas twierdziły, że tak zbitej ofiary jeszcze nie widziały. Ulżył sobie gestapowiec, pomyślałam, zakonotowałam sobie mamę dzielnych synów. Nic to, ja nie umarłam, a jego koniec smutny, pocieszam się, zwlekając się z trudem z siennika przy pomocy kochanej pani Zofii (doktor K.) Idę do okna, bo tam spaceruje Bożenka. Już widzę jej smukłe nóżki i szczupłą postać. Kiwam jej ręką i prędko się cofam, żeby nie dojrzała mojej zmizerowanej twarzy. Nadspodziewanie szybko przychodzę do siebie, bóle się zmniejszają, ślady znikły, tylko na rękach poprzerywane żyły oraz ścięgnięty długi czas bóla i do dziś dają mi się we znaki, jak i zresztą stałe bóle w plecach i nogach.

Życie toczy się dalej. Należy się spodziewać ponownego badania. Odsuwam od siebie uczucie strachu, które codziennie rano ogarnia mnie. Wreszcie wzywają, jadę i za chwilę znajduję się w lochu w poczekalni. Po kilku godzinach oczekiwania wołają: "Walkowska Bożena", wstając, pokazuje się pomyłka. Nie ja mam być badana, tylko ona. Nogi chwieją się pod mną. Myślę, czy nie zechcą wymuszać moich zeznań

torturując Bożenkę, bo tak mi się odgrazali. Modłę się całą duszą. Wkrótce wchodzi Bożenka. Robię się zielona z przerażenia, ale ona uspakaja mnie cichutko, że już jest po badaniu i że odchodzili się z nią bardzo grzecznie.

Oddycham, wracamy ciężarówką. Nie mogę pokonać bólu w całym ciele, który przy każdym ruchu się odzywa. Prostuję się, w ślad za mną Bożenka, ale silny ból zmusza nas do schylenia głów do samej ziemi. Dostajemy z całej siły deskę po głowach. W tej pozycji dojeżdżamy do więzienia. Wydaje się nam ono wymarzoną przystankiem po bytności na Dienstelle. Rozłączamy się z Bożenką uszczęśliwione, że danem nam było zobaczyć się i że ominęło nas bicie. Wracam prawie wesoła do celi, gdzie witają mnie okrzyki radości. Moje współtowarzyszki więzienne witają mnie okrzykami radości, rzucają mi się na szyję, ciesząc się, że mnie nie bito. Karmi mnie zostawionym obiadem i usługują, każąc mi odpoczywać po wyczerpaniu nerwowym w gestapo. Byłam lubiana w celi. Nigdy nie pozwalały mi sprzątać, choć każda obowiązana była mieć dyżur, zamiatać i myć podłogę, wynosić wiadro i tp. Byłam jedyną z 40-tu, która tego nie robiła, choć było dużo starszych. Gdy przyszła kolej na mnie, miałam pełną wyręczycielek i w rezultacie nie robiłam nic. Odplacając im za to, dodawałam im otuchy i pocieszałam często wbrew własnemu przekonaniu, bo jako urodzona pesymistka nie miałam zbyt pogodnych przeczuć.

Chciałam, by się ludziły, że wszystko będzie dobrze, gdyż to dodawało im siły do wytrwania. A wytrwać było ciężko w ciągłym oczekiwaniu badań, a co za tym idzie - bicia i tortury, jęki mężczyzn, często bitych na miejscu przez naszego komendanta, zwanego tygrysem, Dla nas jeszcze nie był najgorszym, lecz dla mężczyzn nie miał litości i maltretował ich strasznie.

Nerwy miałyśmy zszarpane. Modliłyśmy się o wyjazd do obozu, bo zdawało nam się, że tam będzie lepiej. (Oh, jak często w obozie marzyłyśmy o powrocie do więzienia!) Wreszcie przyszła ta chwila. Gdy wyczytano moje nazwisko na transport, pierwsza myśl była, co z Bożenką. Zobaczyłam ją w gronie wyjeżdżających z dobrą miną, jakby jechała na wakacje. Dorwałyśmy się do siebie i odtąd główną naszą myślą było być razem.

Wepchnięto nas do wagonu. Usiadłyśmy na podłogę przytulone do siebie. Pociąg ruszył, westchnęłyśmy gorąco do Boga, polecając się Jego opiece i odsuwając wszystkie troski, zabrałyśmy się do zapasów Bożenki, które, na mój wygłodzony żołądek, były wspaniałe. Na szczęście Bożenka miała życie w celi bardzo dobre dzięki paczkom i paniom, które się dzieliły swymi zapasami. Bożence w więzieniu przybyło 1½ kg i o dziwo, wyglądała lepiej niż na wolności. Jedząc i drzemiąc trochę,

opowiadając sobie nasze przeżycia, dojechaliśmy do Oświęcimia 3 czerwca 1943 roku.

W tym dniu o godzinie 2-iej w nocy, pociąg stanął. Rozsunęto drzwi. Gdzie jesteśmy, nie wiemy, ale według wszelkich przypuszczeń przywieziono nas do Oświęcimia. Złowieszczo brzmi w uszach naszych nazwa tego przekłętogo miejsca. Wiemy, że stąd się nie wraca, chyba w pudełku jako prochy, za które odprawia się nabożeństwo. Chowam te czarne myśli dla siebie, nie chcę się nimi dzielić z Bożenką. Wsiadamy, jest jeszcze ciemno. Dookoła woda, światła latarni i druty. Ustawiamy się w plątki przy ciągłym krzyku, biciu i wyzywaniu. Opodal widać mężczyzn. Wypatrujemy oczy za Jurkiem, ale go niema. Obserwujemy mężczyzn. Większość z nich jest w okropnym stanie po więziennych torturach, z trudem zeskakuja przy pomocy kolegów z wysokich wagonów. Niemcy zniecierpliwieni tłuką ich kanczugami.

Ruszamy po pięć olbrzymim sznurem w zupełnej ciszy i ciemnościach. Po obu stronach gestapo, prawie jeden za drugim z karabinami gotowymi do strzału. Marsz ten ma w sobie coś niesamowitego. Cisza, słychać tylko tupot kilkuset par nóg. Trzymamy się z Bożenką za ręce, bojąc się, by się nie zgubić. Idziemy w milczeniu, pełne trwogi i rozpacz, modląc się przez całą drogę.

Olbrzymia brama z napisem: "Arbeit macht frei". Transport odbiera młoda aufseherin z olbrzymim psem, który rwie się ze smyczy, chcąc się rzucić na nas. Wchodzimy do obozu. Robi się szaro. Spotykamy kobiety niosące olbrzymie kotły z kawą czy czymś w tym guście. Patrzą na nas z ciekawością. Wpuszczają nas do baraku pełnego desek i narzędzi ogrodniczych. Zaczyna się spisywanie personaliów. i tatuowanie numerów ^{na} rękach specjalnym piórem do tatuowania. Nie jest to przyjemne. Zaciskamy zęby, niektóre kobiety płaczą, niektóre krzyczą. Tatuują słowackie Żydówki, stare więźniarki obozu.

Za chwilę dostajemy gorącą kąpiel, którą zjadamy z apetytem. Przez przeszłą dobę nie miałyśmy nic w ustach. Następnie strudzone rzucamy się na podłogę i próbujemy zasnąć. Po kilku godzinach pędzą nas do łaźni, tak zwanej sauny. Tam zabierają nam wszystkie rzeczy, golą głowy na zero i jak Bóg stworzył, puszcza pod zimny prysznic. W szalonym tempie przy wrzaskach: "Loos, schnell"! wpadamy do dużej sali, gdzie rzucają nam okropną bieliznę, pasiaki, drewniane buty i chustki na głowę. Ubierać się trzeba piorunem, przy okazji obrywając na prawo i lewo od blokowej Żydówki, która wali pasem po głowach, plecach i gdzie popadnie. Jesteśmy oszołomione i pół przytomne, podobne raczej do gonionych dzikich zwierząt niż ludzi.

Wychodzimy przed łaznię i ustawiamy się w piątki. Maszerujemy do baraku, który nam jest przydzielony. Zaczyna się zdobywanie miejsc. Barak jest zbudowany z pojedynczej cegły, wewnątrz koje są oddzielone murowanymi ściankami jedna od drugiej i są na trzech kondygnacjach. Udaje nam się cudem zdobyć górną koję. Te są najmożliwsze. Staramy się być w otoczeniu tych, z którymi byliśmy w więzieniu. Rozglądam się i aż oczy zamykam z przerażenia. Dookoła nas straszne typy spod ciemnej gwiazdy, przeważnie kryminalistki, zbrodniarki, złodziejki i tp. Wyróżniają się nie tylko wyglądem, ale mają czarne winkły, podczas kiedymy, polityczne, mamy czerwone (poźniej prawie wszystkie dostały czerwone winkły, zaliczono je do politycznych). Przez parę godzin trwają kłótnie o miejsca, najplugawsze wyrazy obijają się o nasze uszy. Zmęczone i przybite zasypiamy. Po paru godzinach budzą nas gwizdki i krzyki, trzeba prędko wstawać na apel. Patrzymy przerażone na siebie. Jeszcze jest noc, ciemno, gwiazdy świecą na niebie. Dostajemy jakiegoś cieczy do picia. Myjemy się tym płynem, bo o wodzie do mycia niema co marzyć, i stajemy w piątkach przed barakiem.

Stoimy parę godzin, wreszcie nas liczą. W końcu rozwidnia się i gnają nas do pracy. Wywozimy śmieci. Pchamy olbrzymi furgon, pełen gnijących i cuchnących odpadków i my zamiast koni pchamy go poza obóz ze dwa kilometry na śmietnisko. Koła zapadają się w błocie. Pchamy, same z trudem wyciągając nogi z błota. Obracamy kilka razy do obiadu, poczym krótka przerwa. Na obiad dostajemy zupę z po-krzyw. Do bloku nie puszczają. Zjadamy na dworze, zmęczone siadając na nigdy nie schnącym błocie, poczym znów praca do wieczora. Znów apel wieczorny, niekończące się liczenie, kilkugodzinne stanie, podczas którego ^{rozdano nam} po kromce chleba z trocin i łyżeczce marmolady. Rzucamy się na koje ledwie żywe i nie możemy zasnąć ze zmęczenia.. Przytulamy się do siebie westchnawszy tylko: "Boże, daj nam wytrwać." Zasypiamy, by po paru godzinach znów zerwać się na apel. I tak toczy się nasze życie. Jesteśmy mniej zmęczone, bo wciągnęliśmy się do pracy, ale samopoczucie mamy straszne. Zgrzane, brudne, nie możemy się umyć, bo wody nigdzie nie ma. Zaczynają się pojawiać wszy. Tępiły je nieustannie ze wstrętem. Podczas apelu jedna na drugiej je łapie. Dookoła wszystkie się skrobą.

Mamy dosyć śmieci. Udaje nam się przenieść do innej pracy. Idziemy daleko za obóz do kopania rowów. Praca jest ciężka, ale wolimy to niż cuchnące śmieci. Maszerujemy jak zwykle piątkami. Chwilami trzeba biec klusem, zależnie od fantazji posterunków, które prowadzą nas z psami. Te, które zwalniają i zostają na

ostatku, dostają po plecach. Chcąc uniknąć tego wyciągam nogi w olbrzymich drewniakach i, ciągniona przez Bożenke, biegnę, aby tylko nie zostać w tyle. Podczas jednej z takich wędrowek spotykamy maszerujących mężczyzn. W pewnym momencie Bożenka krzyknęła: "Jest Jurek". Spojrzałam, jest rzeczywiście, zobaczył nas, miał oczy pełne łez i zawołał: "Mamus!" Pobiegliśmy dalej. Od tej pory śpieszyliśmy do pracy pierwsze, ożywione nadzieją, że zobaczymy naszego kochanego chłopca. I rzeczywiście, spotkaliśmy się przy kopaniu drogi. Miałymy wyjątkowo dobrą Niemkę capo. Zwróciłam się do niej z prośbą, by ułatwiła nam rozmowę z Jurkiem. Pozwoliła nam się zbliżyć, byleśmy udawały, że pracujemy. Poruszając łopatami zamieniliśmy kilka słów. Pytałam, jak mu jest w Oświęcimiu w porównaniu z więzieniem. Powiedział, że to piekło wydaje mu się rajem. Na zapytania moje, czy bardzo go męczyli, odrzekł: "Lepiej nie pytaj". Wystarczyła mi ta odpowiedź, a jeszcze więcej jego wygląd. Był tak szczupły, że trudno sobie było wyobrazić, by dwa miesiące z dużego, rozrośniętego mężczyzny zrobili szczupłego chłopaka.

Spojrzałam z rozpaczą na jego wynędzniałą postać i pomyślałam sobie, czy on przetrzyma pobyt w tym piekle. Był w lepszych warunkach od nas w głównym obozie w Oświęcimiu. Pod względem higienicznym, mieszkaniowym i traktowaniem stał lepiej. Każda mieszkanka Birkenau, to jest pod-obozu oddalonego o trzy kilometry od głównego obozu w samym Oświęcimiu, w którym byliśmy, wzdychała, aby ją tam przeniesiono. Mimo wszystko truchlałam o Jurka, bo wygląd jego mówił sam za siebie. Psychicznie nie był załamany, trzymał się i uśmiechał do nas. Cały czas pozostał mi ten uśmiech w pamięci. Jurka już więcej nie zobaczyłam. Chodziłymiśmy do pracy wypatrując oczy w stronę mijających nas mężczyzn, ale jego nie było.

Przeniesiono nas do innego "komando". Dostałyśmy ciężką pracę rozbijania kilofami murów. Uwzięła się na nas Niemka, stała nade mną i Bożenką i pilnowała, byśmy nie spoczęły ani chwili. Krzyże pękały nam z bólu. Z przerażeniem patrzyłam na smukłą sylwetkę Bożenki, uginającą się pod ciężarem kilofa. Nie wolno nam było usiąść ani na chwilę, z wyjątkiem przerwy obiadowej.. Pół godziny mijało w oczekiwaniu kolejki do kotła, zaledwie pół godziny czasu zostawało na siedzenie i zjedzenie "obiadu" - znikomej porcji wodnistej zupy w której od czasu do czasu znalazło się mały kawałek ziemniaka w łupinie lub śmierdzącej brukwi. A więc od 3-ej rano do 8-ej lub i później wieczorem, zależnie kiedy się skończył apel, wolno nam było siedzieć tylko pół godziny w czasie obiadu. Upadałyśmy już ze zmęczenia. Bożenka w nocy leżała rozpalona, bo zaczęła bardzo silnie gorączkować. W dzień gorączka spadała. Sił miałyśmy coraz mniej, praca wydawała się coraz

cięższa, ręce puchły od kilofa i bolały.

Pewnego razu przyjechała komisja niemiecka zobaczyć naszą pracę. Stanęli na wzgórzu przyglądając się, jak rozbijaliśmy mur. Słyszałam, jak jeden z Niemców z oburzeniem zauważył: "Przecież to nie jest praca dla kobiet". Myślałam, że to wpłynie cośkolwiek na nasz los, lecz niestety. Wyjątkowo szlachetne i słuszne spostrzeżenie jak na Niemca, przeminęło bez echa. Pracowaliśmy dalej już na pół przytomne ze zmęczenia.

Któregoś dnia nie zwróciłam uwagi na towarzyszek należące do mojej dziesiątki, które oddaliły się gdzieś do innej pracy. Zostałam zbita przez 18 letnią Niemkę capo. Biła mnie z całych sił. Upadłam, biła mnie dalej, poczym za karę nie wolno mi było usiąść podczas obiadu. Bicie było na porządku dziennym. Bito na apelu, bito podczas marszu przez bramę, bito przy pracy. Niemki i Żydówki wymierzały policzki z zamiłowaniem. Dużo Żydówek-Słowaczek było na stanowiskach blokowych i te używały sobie na Polkach, co się zowie. Zawsze przy przechodzeniu przez bramę stał jakiś Niemiec z pejczem w ręku i walił po plecach lub głowach, gdy ktoś źle maszerował, lub też bez powodu.

Któregoś dnia nie puszczono nas do pracy. Po apelu kazano nam się rozebrać do naga, po czym powiązane ubranie należało wrzucić do stojącej niedaleko kadzi z jakimś żrącym płynem przeciw wszom. W kadzi mężczyźni więźniowie moczyli nasze łachmany. Nas gołe pognano przez cały obóz do łaźni, gdzie po zimnym tuszu trzymano nas gołe na betonie w zimnej sali przez parę godzin. Następnie wychodziliśmy na główną ulicę obozu z wyciągniętymi w górę rękoma.. Gąbką zanurzoną w płynie zmywano nam pod pachami i dolne części. Z boku siedział cały sztab obozowy panów i władców i przyglądał się, wysmiewając z naszych ponurych min i zaciśniętych ust, gdyż siłą się trzeba było powstrzymywać, by nie plunąć im w twarz za podobne z nami postępowanie. Następnie zabieraliśmy z kadzi mokre rzeczy, nie koniecznie nasze, i rozwieszaliśmy gdzie się dało w celu wysuszenia. Na apelu stałyśmy gołe lub okryte kocami, jeśli się którejs udało je zdobyć. W bloku kładliśmy się na mokre sienniki. Na drugi dzień dopiero otrzymaliśmy koce od dezynfekcji. Całe to odwszenie było jednym wielkim żartem, bo wszy były nadal i dalej nas męczyły.

Bożenka gorączkowała wciąż i opadała z sił z każdym dniem. Konieczność pójścia na rewir (tak nazwano szpital), wisiała nad nami. Bałyśmy się tego strasznie. Opowiadano niestworzone rzeczy o rewirze. Ja też zaczęłam gorączkować. Nie było wyjścia, postanowiliśmy iść, byle razem. Przyjęto nas od razu, gdyż wygląd nasz zdradzał kompletne wyczerpanie. Lekarki tam były Polki, pielęgniarki przeważnie

też, więc zaraz otoczono nas opieką. Miałymy bardzo zaprzyjaźnioną lekarkę, moją towarzyszkę z więzienia, która jak mogła troszczyła się o nas. Zaczęły przychodzić paczki, odżywiałyśmy się lepiej. Przez dwa miesiące udało nam się wypoczywać w szpitalu, gdzie zdala od apelu i od widoku okrucieństw odżyłyśmy fizycznie i psychicznie. Niestety, trzeba było wracać do pracy. Pobyt między chorymi i ciągle leżenie na pryczy nie było dłużej do wytrzymania dla zdrowych. Bezczynność dokuczała nam tak dalece, że postanowiliśmy wrócić do pracy, mając zapewnienie naszych zacnych lekarek, że w razie gdy nam będzie bardzo ciężko, przyjmą nas z powrotem. Przeszliśmy całą mękę przeniesienia z rewiru na oboz, która polegała na tym, że wcześniej rano, jeszcze pociemku, pędzono nas gołe, tylko okryte kocami, do łaźni. Przed drzwiami łaźni odebrano nam koce i trepy, poczym trzymano nas na zimnym betonie, w okropnych przeciągach, całe drżące i zsiniałe. Po zimnym prysznicu dostałyśmy okropną bieliznę już zawszoną i pasiaki i olbrzymie drewniaki. Wreszcie gotowe zostałyśmy zaprowadzone do bloku, gdzie królowała blokowa, młoda 18 letnia dziewczyna, bardzo bezwzględna i okrutna. Słyszeła z tego, że wszystkie mieszkanki swego bloku pędziła niemiłosiernie do pracy, nie szczędząc przy tym wyzwisk i bicia.

Dostałyśmy okropną koję na parterze wraz z czterema innymi. Siedzieć na koi można było tylko z głową pochyloną. Zaczęła pierwsza noc połała się nam na głowę jakaś ciecz od sąsiadów z góry. Strasznie przygnębione tymi nie do wytrzymania warunkami, rozmyślałyśmy, co robić, by urządzić się lepiej i nie chodzić w pole, bo wiedziałyśmy, co to znaczy. Spotkałyśmy jedną blokową, która zaproponowała nam przeniesienie nas do jej bloku, gdzie, jak twierdziła, ptasiego mleka nam nie zabraknie i dostaniemy lekką pracę na miejscu. Zgodziłyśmy się na to, nie mając innego wyjścia, choć z pewną obawą, bo pani ta, aczkolwiek okazywała nam dużo życzliwości, nie wzbudzała w nas zaufania. Poznałyśmy ją przy pracy w polu, gdzie pełniła funkcję forarbarterki. Jak twierdziła, umęczone nasze twarze nie dawały jej spokoju i trzeba przyznać, że dokąd byliśmy w zasięgu jej władzy, ochraniała nas jak mogła, stwarzając nam pozory pracy, które pozwalały nam niejednokrotnie odpocząć. Klóciła się z Niemkami, które wymyślały jej za wstawianie się za nami. Byłyśmy jej głęboko wdzięczne, ale miałyśmy się na ostrożności. Mówiła świetnie po niemiecku i bardzo chętnie rozmawiała z Niemcami. To już nas zraziło, bo nie wyobrażałam sobie dobrej Polki, któraby rozmawiała z Niemcami nie będąc do tego zmuszona. Przyjęła nas w swym bloku bardzo mile, zwróciwszy się do swego personelu zapowiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu: "Dla pani majorowej najlepsze łóżko." Blok był czysty, karność ogromna. Powiedziałam do Bożenki: "Albo nam

tu będzie bardzo dobrze, albo zwiejemy stąd niedługo, zobaczymy." Bożenka zajęła stanowisko forwaczy, niezbyt ciężkie. Stała lub siedziała w bramie, pilnując porządku, ja zaś dostałam funkcję nocnego stróża. Zadaniem moim było obchodzenie bloku w nocy, tudzież pilnowanie mieszkańek bloku, by nie zanieczyszczały dookoła. Chodzenie w nocy sprawiało mi wielką przyjemność, gdyż tylko wtedy było spokojnie. Był to okres, kiedy jeszcze nie było transportów i palących się kominów, więc cisza była naprawdę idealna. Noce były mroźne, śnieg chrzęścił pod nogami i lśnił jak brylanty. Wolno mi było rozmyślać, wspominać i marzyć. Temu nie mogły przeszkodzić ani elektryzowane druty, ani posterunek na wieży, którego od czasu do czasu pytałam o godzinę.

W połowie nocy wraz z drugą nachtwachą rozpalaliśmy ogień w piecu, co było surowo zabronione, i gotowaliśmy zupę, po czym budziłam Bożenkę. Moje biedactwo na pół śpiąc pochłaniała z wielkim apetytem litr lub więcej gorącej zupy i spała dalej. Zagrzawszy się tym pożywieniem o tak niezwyklej porze, spacerowałam znów po dworze aż do rana do godziny 4-ej. Wolałam być na zewnątrz niż w nieopalanym baraku, gdzie całą noc musiały być otwarte olbrzymie wrota, aby nie budzić pani blokowej, która spała w swym ciepłym pokoiku. W baraku było przeraźliwie zimno, nogi i ręce kostniały. Apele były nad wyraz przykre. Pani blokowa wymierzała policzki z wprawą gestapowca. Nasze stosunki oziębiły się. Nie nadawałam się na nachwachę. Należało bić, kopać i skarżyć, natomiast ja ani nie biłam, ani nie kopałam, ani nie zdradzałam, co kto mówił i co kto robił.

Pewnego razu znalazłszy jakiś ślad nieporządku koło bloku, blokowa zrobiła mi wymówkę podczas apelu za niedopilnowanie. "Chętnie bym to umieściła na pani głowie" - rzekła. "Wcale w to nie wątpię" - odpowiedziałam na cały głos. "Od jutra będzie pani chodziła w pole" - krzyknęła z wsiekłością. Poszłam, kopaliśmy buraki. Były zmarznęte i okryte szronem. Moje chore ręce pod wpływem zimna stawały się niezdolne do pracy. Motyka i sierp do ścinania liści wypadały mi co chwila z ręki. Przyglądał mi się szef: "Głupia z was kobieta, kiedy nie umiecie wykopywać buraków" - orzekł z pogardą. Przyjęłam spokojnie tę uwagę, nie chcąc mu tłumaczyć powodu dla którego tak niespornie idzie mi praca. Staram się zniknąć mu z oczu.

Do wieczora przemęczyłam się. Po pracy czekała nas obowiązkowa łaznia, bo o ile dawniej nie dano nam się umyć ani kąpać, o tyle teraz trzeba to było robić wciąż. Było to tylko złudzenie kąpieli. W szalonym tempie przepędzano nas pod zimnym tuszem i wyrzucano na dwór, gdzie musiałyśmy się ubierać na zimnie w ciem-

nościach, po czym maszerowaliśmy pod blok na apel, który trwał bardzo długo. Zmarznięte na kość szliśmy spać.

Byłam już starym Haftlingiem, nie dałam się tak łatwo zmiążyć pani blokowej. Postanowiliśmy z Bożenką następnego dnia udać się na rewir. Bożenka miała awitaminozę, całe nogi były obsypane wrzodami. Mnie wprowadzie nic nie było, ale jakos to będzie. Poszłam do blokowej prosząc o skierowanie na rewir. "Bożenka dostanie je, ale pani nie, bo pani nic nie jest." "Myli się pani, stale gorączkuje, zresztą widzi pani, jak wygląda." Wyglądałam źle, nieprzespane noce odbiły się na mnie, w dzień spać nie mogłam. Widac, chciała się mnie pozbyć, bo się zgodziła.

Na rewirze przyjęto nas odrazu, odetchnęliśmy. Bożenkę zaczęto leczyć autochemią, ja zaś wysypiałam się od rana do wieczora. Po jakimś czasie z przerażającą szybkością zaczął szerzyć się tyfus. Bez niepokoju, biernie czekaliśmy na pierwsze objawy. Wiedzieliśmy, że jest to nieuniknione i że obronić się przed tym nie można. Dookoła ludzie umierali jak muchy. Często silnie umierali, a takie, w których ledwo że duch kołatał, przychodzili do siebie po tyfusie. Jeszcze jeden dowód, że co komu przeznaczone, to go nie minie, mówiłam nieraz do Bożenki.

Przyszedł nieunikniony tyfus, najpierw do Bożenki, ciężki i nieubłagany, w formie najostrzejszej. Trzy tygodnie Bożenka walczyła ze śmiercią, trzy tygodnie bez wytchnienia pielęgnowałam ją, obmywając kilkakrotnie dziennie rozpalone ciało wodą lub ziółkami. Co chwila wlewałam jej do ust jakiś płyn. Całe noce musiałam ją trzymać w objęciach, gdyż wciąż uciekać chciała z łóżka. Słyszałam szepty dookoła, że z niej nic nie będzie. Lekarki robiły co mogły. Badały kilka razy dziennie, robiły zastrzyki, które ja kupowałam za paczki od Żydówek z "Kanady". Przez długie, straszne trzy tygodnie czuwałam prawie nie śpiąc, nie odzywając się do nikogo. Z przerażeniem patrzano na mnie. Ani jedna łza nie spadła z moich oczu. Nikt nie był w stanie pojąć mego opanowania. Byłam przygotowana na wszystko. Powiedziałam sobie, że jeżeli Bóg pozwoli żyć Bożence, będę żyła i ja, jeśli nie, pójdę za nią.

W wigilię przyszedł kryzys. Już wiadomem mi było, że Bożenka żyć będzie. Powiesiłam jej małą choinkę przy łóżku, której przyglądała się z leciutkim uśmiechem, bardzo osłabiona i chuda jak szkielet. Wieczorem dostałam ja gorączki. Leżałam cicho, spokojna już o Bożenkę i pewna, że skoro ona wyszła z tyfusu, wyjdę i ja. Miałam o wiele łżejszy przebieg, najwyżej 39 stopni gorączki, podczas gdy Bożenka miała stale 40 stopni. Gdyby nie straszliwe bóle pośladków, na których miałam odleżyny (podczas choroby Bożenki leżałam cały czas na poręczu łóżka, chcąc jej zostawić jaknajwięcej miejsca), stan mój można było nazwać przyjemnym.

Przez cały czas dwutygodniowej maligny miałam jedno i te same złudzenia. Wciąż widziałam karetkę Czerwonego Krzyża, w której uśmiechnięci Anglicy wieźli nas obie do mojej siostry Wandy, po drodze częstując nas kanapkami i herbatą z mlekiem z termosu. Czułam się tak szczęśliwa w tych majaczeniach, że z przykrością oprzytomniałam, widząc się znów w obozie.

Po dwóch tygodniach przeszły miłe wrażenia, wróciła rzeczywistość. Po tyfusie straciłam absolutnie władzę w nogach i leżałam jak kłoda, nie mogąc się ruszyć zupełnie. Ponieważ na rewirze miały nastąpić jakieś zmiany, które polegały na wiecznym przenoszeniu się z miejsca na miejsce, segregowaniu chorych, przeniesiono nas na inny blok. Była tam obsługa żydowska, chore też, więc czułyśmy się tam fatalnie, ale cóż było robić. Pewnego dnia wpadło kilku gestapowców krzykiem: "Alles raus!". "Selekcja", rozległy się szepty Żydówek. Kazano nam schodzić z łóżek. Byłam przerażona wiedząc, że jeszcze parę godzin temu próbowałam wstać i nogi jak wata zwinęły się podemną. Westchnąwszy gorąco do Boga i skupiwszy się całą siłą woli, stąpnęłam, o dziwo, parę kroków. Zresztą zaraz kazano nam wracać do łóżek. Wywoływano dalej tylko Żydówki. Wrzaski były straszliwe, Pospisywano numery i narazie na tym się skończyło, ciąg dalszy był następnego dnia. Wpadli znów z krzykiem. Tym razem brano nieszczęsne, niektóre obłąkane ze strachu, niektóre uśmiechnięte, stare i schorowane lub piękne i młode, przeważnie Żydówki-Greczynki. Zdzierano z nich koszule, wrzucano do ciężarówki i dalej do gazu. Pod naszym łóżkiem ukryła się jedna, błagając, by jej nie zdradzić. Właśnie nadszedł gestapowiec i tłumaczył nam szeroko, że jeśli kogo przechowamy, będziemy srogo ukarani. Zapewnialiśmy bez zająknięcia, że nie mamy zamiaru nikogo ukrywać, modląc się w duszy, by się kłamstwo nie wydało, ale za chwilę się wynieśli, zabrawszy z sobą biedne ofiary. Z całego bloku pełnego Żydówek zostało nas parę Aryjek i kilka Żydówek pielęgniarek. Po tym strasznym przejściu długo leżałyśmy całe roztrzęsione, szepcząc drżącymi wargami: "Boże, wszak Ty to widzisz, więc czemu pozwalasz."

Po kilku dniach przeniesiono nas do innego bloku, gdzie był nieprawdopodobny ścisk i okropne warunki higieniczne. Tu zapowiedziano nam odwszenie. Wszyscy mieli zejść z łóżek, zdjąć koszule i nago przejść do innego bloku już odwszonego. "Nie mogę zejść, jestem po tyfusie", powiedziałam do lekarki, słowackiej Żydówki. "Złaz, i tak niedługo wszyscy będziecie trupami". "Mam nadzieję, że ty pierwsza"-nie mogłam się wstrzymać i musiałam jej posłać to życzenie.

Zwlokliśmy się z Bożenką i trzymając się ścian i zataczając, przeszliśmy do

innego bloku gołe i trzęsące się z zimna i osłabienia. Był styczeń, mróz i śnieg. W bloku trzeba było stać dłuższy czas zanim pospisywano numery i przydzielono nam łóżka, po dwie na każdym, na mokrych siennikach, po dezynfekcji i bez koców. Siedzieliśmy przytulone do siebie, szczękając zębami, dwa nędzne szkielety, bo po chorobie wygladałyśmy strasznie. W tym wypadku moja zwykła zaciętość mnie opuściła. Zakryłam twarz rękoma i płakałam jak dziecko. Wkrótce jednak poczciwe koleżanki przyniosły nam ubrania, które dałyśmy na przechowanie. Samopoczucie poprawiło się, chwila słabości przeszła. Powiedziałyśmy sobie jeszcze raz: "Nic to, musimy wytrwać."

Po kilku dniach względnego spokoju czekały nas przykrości. Lekarka Rosjanka, bardzo nieprzychylnie nastawiona do Polek, wypisała Bożenkę na lager. Byłam w rozpacz, wiedziałam co to znaczy rozstać się z kimś w obozie, można było stracić kontakt raz na zawsze. Próbowałam przemówić do sumienia lekarki, odpowiedziała mi na to: "Mnie też rozłączono z dzieckiem i żyję, to wam też nic nie będzie". Nie było rady. Bożenka poszła i ja postanowiłam iść za nią, choć czułam się kompletnie chora, prosiłam o wypisanie mnie na lager. "Ależ nie przejdziecie nawet paru kroków." "Przejdę, proszę zobaczyć". Przedefilowałam przed nią prosto, wstrzymując z całej siły drżenie nóg i całego ciała. Wypisała mnie. Czekala mnie droga do lagru, kąpiel i td. Przewyciężyłam wszystkie trudności siłą woli i uporem. Ostatekiem sił dowlokłam się do Bożenki. Byłyśmy razem, to najważniejsze.

W bloku potoczyło się życie ciężkie, przy straszliwym zimnie. W dzień nie wolno było leżeć na koi, ani przykrywać się kocem. Chodzić obie nie mogłyśmy, gdyż zbyt wcześnie opuściłyśmy szpital. Nogi bolały, kiedy zmuszone byłyśmy wyjść na dwór. Musiały nas prowadzić dwie osoby. Szłyśmy z trudem, tamując łyzy bólu. Na szczęście apele odbywały się w bloku. Poza tym miałyśmy paczki dzięki którym gotowano nam zupki gorące, które nas bardzo rozgrzewały.

Najgorsze były wieczory. Ciało rozgrzane pod kocem zaczynało niesamowicie swędzieć, bo wszyscy mieliśmy świerzbę. Zamiast spać, skrobałyśmy się wszystkie do krwi. Nie było na to rady. Lekarstw brakło, cały obóz był zaświerzbiony. Tak przetrwałyśmy dwa tygodnie. Pewnego dnia przyszedł doktor Klein. Był wyjątkowo miły i uprzejmy, co nie przeszkadza, że często asystował przy selekcjach do gazu. Tym razem jednak ogłosił, że wszystkie kobiety od 45 lat mają się zapisać bo będą zwolnione. Stałam na uboczu z Bożenką, podszedł i zapytał, dlaczego się nie zapisuje. Powiedziałam, że nie chcę iść na wolność bez córki. Przyjął to do

wiadomości, lecz za chwilę wrócił mówiąc, że mogę się zapisać z Bożenką, ale przed tym mamy iść do szpitala, bo wyglądamy bardzo źle. Zapisał nas, mieliśmy parę minut złudzenia, że może wrócimy do domu, lecz po kilku dniach usłyszeliśmy, że papiery z zapisanymi numerami na wyjazd zostały spalone.

Postanowiliśmy skorzystać ze skierowania lekarza i wrócić na rewir. Stan mego zdrowia pogarszał się z dnia na dzień, Bożenki także. W szpitalu dostaliśmy się do grona znajomych już nam pielęgniarek i poczułyśmy się trochę jak u siebie. Nareszcie wyciągnęliśmy się na łóżku (pryczy), choć we dwie na jednym i choć na nim poprzedniego dnia skonała gruźliczka, ale mimo wszystko poczułyśmy się dobrze. Dookoła leżały Polki, pielęgniarkami były Polki, blokowa też, znana nam już i bardzo nam życzliwa. Paczki przychodziły wspaniałe i bardzo dużo, starczyło dla nas i dla innych, którzy paczek nie mieli. W porze przynoszenia paczek zawsze było duże ożywienie, a sypały się na nasze łóżko obficie. Bożenka w szybkim tempie poprawiała się. Na mnie fatalnie odbiło się przedwczesne wyjście ze szpitala. Dostałam zapalenia płuc. Próbowano stawiać mi banki, ale niestety, na wychudłym ciele ani jedna nie zdołała się utrzymać. Lekarka była polska Żydówka, która interesowała się tylko wtedy, gdy otrzymała coś z naszych paczek. Za każdy zastrzyk musiałam płacić kawałkiem słoniny lub boczku.. Była to pijawka w całym tego słowa znaczeniu. Leczyła tylko tych, którzy płacili jej żywnością. Biedne chore nie posiadające paczek pomału konały, nie mając znikąd ratunku.

Stan mój był bardzo ciężki, a kiedy dowiedziałam się o śmierci Jurka, ogarnęła mnie apatia. Całe dnie i noce leżałam w gorączce, mając przed oczami syna i prowadząc z nim długie rozmowy. Budziłam się chwilami, by spotkać zatruwony wzrok Bożenki i strach mnie ogarniał na myśl, że jeśli odejdę, to biedactwo zostanie same. Zaczęłam pracować nad sobą, by otrząsnąć się z apatii i wzbudzić chęć do życia. Muszę żyć, muszę żyć dla niej, powiedziałam sobie i zmuszałam się do jedzenia. Przy pomocy życzliwych pań zdobyłam pokazną ilość lekarstw. Pochłaniałam całe masy tłuszczu, by uleczyć moje chore płuca. Przysyłano mi tego dużo w paczkach. Siostra domyslała się, że jestem chora na płuca, gdyż dałam jej to do zrozumienia w liście, który było nam wolno pisać raz na miesiąc.

Pomału wracałam do zdrowia. Przy pomocy Bożenki próbowałam chodzić, ale nogi, przywykłe do skurczonej pozycji na ciasnej pryczy, nie chciały się wyprostować. Lekarka widząc, że lecę się we własnym zakresie, nie korzystając z jej wątpliwej pomocy (wątpliwej tymbardziej, że nie była lekarką, tylko dentystką), wymyśliła historię, która kosztowała mnie wiele nerwów. Oznajmiła mi, że badania wy-

kazały, że mam gruźlicę, wobec czego zmuszona jest mnie przenieść na blok gruźliczek. Wiedziałam, co to znaczy. Rozdział zupełny z Bożenką i zarażenie się naprawdę gruźlicą, której byłam pewna, że nie miałam, bo w diagnozę pani Mintzowej wcale nie wierzyłam. Nie gorączkowałam, nie kaszlałam, apetyt miałam szalony i tyłam. Troskę o mnie pani M. uspokoiłam zawartością paczki. Od tej pory musiałam się z nią stale dzielić, by nie spełniła swej groźby przeniesienia mnie.

Widocznie ilość smakołyków nie była wystarczająca, bo znalazła nową torturę. Wypisała Bożenkę na blok wypoczynkowy o tyle dobry, że nie brano tam do pracy. Bożenka poszła tam wraz z kilkoma paniami z naszego otoczenia i byłam spokojna, że się nią zaopiekują. Czułam się okropnie bez niej. Przestałam jeść, ożywiałam się tylko wtedy, gdy Bożenka mnie odwiedzała. Bóg dobry czuwał zawsze nad nami. Po kilku dniach Bożenka dostała silnej gorączki i znalazłyśmy się znowu razem. Gorączka przeszła i w szybkim tempie wracaliśmy do zdrowia. Zaczęto nas leczyć na świerzb. Po kilku dniach smarowania Mitygalem, największa nasza zmora świerzb, który nękał nas przez tyle miesięcy - znikł zupełnie. Odetchnęliśmy.

Z czasem zmieniono lekarkę. Zabrano naszą pijawkę, a na jej miejsce przyszła dr. Węgierska, pełna oddania Polka, troszcząca się jednakowo o wszystkich, gorliwie i bezinteresownie. Z punktu wyśmiała moją gruźlicę i na naszą prośbę obiecała po kilku dniach wypisać z rewiru. Dłużej nie można było trwać na rewirze. Wyglądaliśmy dobrze dzięki paczkom i odpoczynkowi. Przeglądy chorych odbywały się dwa razy w tygodniu. Do tej pory chowałam Bożenkę przed okiem lekarzy niemieckich, ale nie chciałam narażać naszej lekarki i blokowej, które za trzymanie zdrowych na bloku byłyby ciężko karane.

Żał nam było się rozstać z naszym otoczeniem. Kącik nasz żył intelektualnie. Słyszałyśmy nieraz utwory literackie, wiersze, obrazki sceniczne lub półgłosem nucone pieśni. Poruszane tu były różne tematy. Jedna z pań, artystka sceniczna, nieraz do późnej nocy opowiadała utwory sceniczne pięknie modelowanym głosem. Przez moment zapominałyśmy, że jesteśmy w obozie, zasłuchane, wstrzymując oddech, aby nie stracić ani jednego słowa. Budziła nas okrutna rzeczywistość, straszliwe wrzaski. Patrzymy przez szpary - znowu transport do gazu.

Już od dwóch miesięcy prawie dzień i noc przyjeżdżały transporty Żydów. Pociąg stawał za drutami bardzo blisko naszego baraku. Wychodzącym z wagonów zabierano rzeczy, poczem segregowano ich - część szła od razu do komina, część na obóz do pracy. Krematoria nie mogły nadażyć w paleniu zagazowanych. Palono więc stosy ofiar w rowach, specjalnie na ten cel wykopanych, gdzie również żywcem rzucano starców i dzieci. Noce rozbrzmiewały rozpaczliwymi krzykami bitych ofiar, wysiadających z wagonów

dających z wagonów i rozdzielanych od rodzin. Kominy buchały ogniem. Od płonących rowów były dookoła łuny. Nieraz w nocy nie mogłam zasnąć. Zatykałam uszy modląc się, by nie oszaleć, bo zdawało mi się, że za chwilę stracę przytomność i zacznę krzyczeć, jak biedne wariatki, które skazane na wymarcie w sąsiedniej sali wrzeszczały po całych dniach i nocach. Leżałam nieruchomo, bojąc się obudzić Bożenkę, chcąc jej oszczędzić tych krew mrozących w żyłach widoków i tych straszliwie ciężkich myśli, jakie kłębiły się w głowie. Czemu Bóg pozwala, czemu świat milczy i nie ratuje tych nieszczęśliwych, zapomnianych przez Boga i ludzi.

Opuszciliśmy rewir serdecznie żegnane przez nasze współtowarzyszki. Zaraz następnego dnia zaczęła się męka wystawiania na apelach. Nie trwały tak długo jak dawniej, nie mniej dla nas osłabionych długim leżeniem, były one ciężkie do zniesienia. Odrazu zobaczyliśmy naszego szatana obozu - Stenię oberlageraelteste. Choć była też więźniarką jak i my, trzęsła całym obozem i wślawiła się okrucieństwem i sadyzmem. Władzała świetnie niemieckim, a za zasługi, które polegały na straszliwym maltretowaniu więźniarek, została nagrodzona stanowiskiem lageraelteste. Znosiliśmy spokojnie i z godnością obelgi, bicie i szykany wszystkie od Niemców, bo to był nasz odwieczny wróg, ale bicie, kopanie i okropne wyzwiska od naszej Polki bolały nas stokrotnie więcej. Jedno słowo: "Idzie Stenia", pogrążało cały apel w zupełnej ciszy i oczekiwaniu, co będzie. I było za byle co lub bez powodu: "Kłęczcie i ręce do góry." Pogrążyliśmy się we wstrętnym błocie. Stenia krzyczy i bije kańczugiem, przechodząc koło nas, piękna i strojna, a z wdzięcznych ustek syją się okropne plugawe wyzwiska na nasze umęczone głowy. Szczególnie ucierpiała od niej inteligencja. Przyczepiała się do niej o byle co. "Po apelu wszyscy do pracy", powiedziała Stenia, "Kto się nie zgłosi, zostanie ukarany." Te, które przyszły z rewiru miały się zgłosić osobno i dostać lepszą pracę. Poszliśmy z Bożenką do tej lepszej pracy. Nosiliśmy kamienie z rampy kolejowej na rewir. Kawał drogi i ciężar. Obróciliśmy parę razy bez chwili odpoczynku. W pewnej chwili, korzystając z nieuwagi naszej kapo, uciekaliśmy już ledwo żywe ze zmęczenia na rewir, do naszego dawnego bloku. Nasze znajome panie uściskały nas, pełne współczucia. Odpocząwszy trochę wróciliśmy do bloku, postanawiając się nie zgłaszać do lepszej pracy na drugi raz.

Na drugi dzień przez starania znajomych pań, udało nam się przenieść do drugiej części obozu do pracy w trykotarni. Był to wielki "awans", bo praca była pod dachem, siedząca i życie nasze znów potoczyło się dalej w trochę lepszych warunkach. Apele trwały krócej, starsze panie mogły siedzieć. Blokowe Żydówki pousuwano i zastąpiono je Polkami. Bicia było mniej, choć wciąż jeszcze były

niektóre aufseherin i czasem szalona lager kapo tak zwana "krwawa Ela" oraz sławna Maria lageraelteste. Postrach obozu Stenia wpadała rzadko, bo miała dość bicia na obozie "A", a my byliśmy teraz na obozie "B".

Jako już stare haeflingi nauczyliśmy się z Bożenka pierwszorzędnie omijać wszelkie niebezpieczeństwa. Wszelkie odwszenia, przymusowe wspólne kąpiele, badania lekarskie, a nawet wybieranie na transport przestały być dla nas ciężkim przeżyciem. Ulatniaaliśmy się jak dwa nierazłączne duchy i znikaaliśmy z oczu, aby się wyłonić post factum. Przy pracy nie przemęczaaliśmy się zbyt w myśl zasady: "Pracuj powoli, bo pracujesz dla wroga". Niestety było głodno, bo paczki już nie przychodziły. Mimo wszystko cieszyło nas to, bo wiedzieliśmy, że z Niemcami jest krucho.

Nadzieja wstąpiła w nasze serca. Czuło się w ogólnym nastroju, że zbliża się koniec Niemców, choć może i nasz też. To już nas nie obchodziło, byleby dla nich przyszła zagłada i kara. Szaleli coraz bardziej. W bloku, w którym pracowaliśmy, nie dawano nam spokoju. Nasza aufseherin specjalnie prześladowała Polki. Ustawicznie nas rewidowała, ściągając nam ciepłe rzeczy, pozwalając je nosić tylko Żydówkom. Za byle głupstwo skreślała z pracy, wysyłając na transport do Niemiec. Oddychaliśmy, gdy kładła się spać w kącie pod stołem, gdyż w swoim pokoju się obawiała, by ją na tym nie złapano. Od czasu do czasu wstała, aby zobaczyć jak pracujemy i wymierzywszy parę policzków, zawsze tylko Polkom, wracała na godne jej legowisko. Nazywała się Sacher i powinna była się znaleźć na ławie oskarżonych zbrodniarek.

Na szczęście mieliśmy dobrego szefa. Był to jakiś volksdeutch ze Śląska, mówił dobrze po polsku. Dbał o nas, starał się o dodatki żywności tak zwane zulage, pilnował, by nam było ciepło i wyklócał się z aufseherin, z którą się nienawidzili. Żądał tylko byśmy wykonywały normę pracy tłumacząc, że jeśli nie zrobimy tego, czego od nas żądają, wyśle jego i nas do pracy w pole.

Staraaliśmy się zadość uczynić jego wymaganiom, wiedząc, że jest to dla naszego dobra. Czasem wpadała aufseherin Hasse i wybierała na transport przeważnie te, które dobrze wyglądały i gwizdząc jak na psa, wywoływała je z poza stołu.

Wybieranie na transport odbywało się także na apelach. Pewnego razu na apelu wpadłam w oczy Hasse, kręciłam się, zasłaniając Bożenkę. Hasse podeszła do mnie, Nie podobał jej się sposób noszenia chustki na mojej głowie. Poczułam silny ból, dostałam dwa policzki, aż na chwilę ogluchłam. Nic to, pomyślałam, nie pierwszy i nie ostatni. To nie ważne i ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Mam wszel-

kie dane przypuszczać, że śmiać się będziemy my, a nie wy.

Nie tylko ja, ale wszystkie Polki były tego przekonania. Podziwiałam nieraz siedząc pod blokiem jako starsza pani (Polki blokowe pozwalały na to) wszystkie te biedaczki stojące na apelu, gdzie prawie codziennie rozbierano je lub ściągano obuwie, dając im w zamian drewniane saboty. Nic nie wyprowadziło ich z równowagi. Oddawszy dziś postarały się o nowe rzeczy jutro i jeśli zabrano im jutro, miały znów pojutrze. To się nazywała obozowa "organizacja". Apel ranny odbywał się w krwawym blasku płonącego komina, w którym w dzień i noc bez przerwy palono zagazowanych ludzi. Transporty szły bez końca i z tego powodu nie wolno nam było wychodzić z bloku.

W jednym wolnym dniu, to znaczy w niedzielę, cały dzień ogłoszona była "block-spera". Niedziele spędzałyśmy na koi, zdobywszy dzięki naszej kochanej opiekunce, zacnej pani Adzie, trochę kartofli. Gotowałyśmy zupe, aby choć raz w tygodniu poczuć się sytymi. Blok rozbrzmiewał niesamowitym gwarem i wisielczym śmiechem. Dokoła słychać było języki: polski, francuski, niemiecki, węgierski, jugosłowiański, włoski, rosyjski i grecki. Humorem i dbałością o wygląd odznaczały się Polki, ubrane starannie i czysto mimo wszelkich trudności w zdobyciu wody, która mimo pięknych umywalni była stale zamknięta. Polki były silne, zdrowe, zahartowane fizycznie, a przede wszystkim duchowo. Wypadków załamania się prawie nie spotykano. Jugosłowianki wyglądały marnie, klimat był dla nich zabójczy i wciąż chorowały. Żydówki wyglądały okropnie, brudne, zaniedbane, w łachmanach, zupełnie załamane, oczekujące w każdej chwili wybierania do komina, które od czasu do czasu odbywały się na blokach i wzbudzały litość.

Rosjankom powodziło się dobrze. Siłą pięści, nie przebierając w sierodkach zdobywały sobie pierwsze miejsce przy kotle z jedzeniem, a także i na koi. Wyndsiły całą masę rzeczy z pracowni i sprzedawały za żywność, trzymały się razem i pomagały tylko swoim. Często jednak trafiały się wypadki załamania i kończyły się obłędem. Najwięcej spotykało się obłąkanych Ukraińek i Żydówek. Polki nie było ani jednej.

Coraz częściej wybierano na transport. Kilkakrotnie padł wyrok na mnie z Bożenką, ale zawsze udawało się nam uciec. Rozprzeżenie w obozie było coraz większe, bałagan nieprawdopodobny, władze nie mogły sobie dać rady.

Zaczęto likwidować nasz obóz, mając zamiar nas przenieść na sąsiedni tak zwany II B. Zaczęła się przeprowadzka pracowni. Nosiliśmy ciężkie walizy tam i z powrotem, zawsze eskortowane i liczone przy bramie, choć odbywało się to w obrębie

obożu. Na nowym miejscu dostałyśmy kapo Polkę. Aufseherin inna i zupełnie możliwa, zaglądała tylko czasem. Odetchnęłyśmy pełną pierśią. W pracowni czułyśmy się dobrze i niechętnie wracałyśmy na noc do zimnego, nieopalanego bloku, w którym co jakiś czas odbywała się rewizja, podczas której zabierano nam nadetatowe, "zorganizowane" ciepłe koce lub kołdry. Oddawano je do magazynu, by po kilku dniach wracały do nas dzięki uczynności naszych koleżanek, zatrudnionych przy sortowaniu wszelkiego rodzaju pościeli po-żydowskiej, zdobytej przez Niemców na transportach idących do gazu. Zabawa ta trwała wciąż, dziś nam zabraną, jutro już miałyśmy znów i tak wkońco. Przestałyśmy się tym przejmować tym bardziej, że miałyśmy powód do radości. Wciąż były alarmy przeciw lotnicze. Bomby bardzo celnie rzucane trafiały w gestapowców i ich domy, nam sypał się tynk na głowę, ale szalałyśmy z radości.

Boże Narodzenie spędziłyśmy w naszej pracowni przy wspólnie skombinowanej wili. Władze obozowe były zajęte swymi sprawami. Podobno pakowali się, przy tym stale uciekali do schronów, bo alarmy często się powtarzały. Zauważyłyśmy, że Niemcy w masie tacy odważni, pojedynczo są tchórzami, jakich mało. Podczas alarmów w panicznym strachu, ze stołkami na głowie jako obrona od pocisków, uciekali z placówek przy bramie do pobliskiego rowu. Zaśmiewałyśmy się wtedy i nie posiadałyśmy się z radości. Pracowałyśmy mało, korzystając z ogólnego bałaganu i braku dozoru. Prałyśmy, gotowałyśmy zupki z "organizowanych" kartofli, robiłyśmy dla siebie ciepłe rzeczy. Nie wydalałyśmy się z bloku, nie chcąc pokazywać się na oczy szalejącym gestapowcom. Na obozie odbywały się polowania na zdrowo wyglądające dziewczęta, które pędzono do ambulansu, gdzie pobierano im krew dla chorych żołnierzy, w nagrodę dając kawałek chleba i plasterek kiełbasy.

Pewnej nocy styczniowej (dokładnie 18-go stycznia) 1945-go roku obudzono nas na bloku, każąc szybko się ubierać. Opuszczamy oboz, wolno zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Ustawiono nas w piątki. Każda otrzymała dwa bochenki chleba, pół kostki margaryny i puszkę konserw. Radość była ogólna. Ja jej nie podzielałam. Wiedziałam, że oddalamy się od Polski, jedziemy w głąb Niemiec do znienawidzonego przez nas kraju. Poza tym choć obiecali wieźć pociągami, czułam, że popędzą nas pieszo, a kto nie nadąży zstrzela bez pardonu. Znałam już na tyle Niemców, by nie mieć żadnych złudzeń.

Zaczęła się koszmarna wędrówka. Pędzono nas, dając co parę kilometrów najwyżej parę minut wytchnienia. Padałyśmy na śnieg, pakując go całymi garściami do ust, by ugasić pragnienie. Szłyśmy prędko, chwilami trzeba było biec, by nie

zostać w tyle. Trzymaliśmy się z Bożenką za rękę, aby się nie rozdzielić w tym tłumie. Za nami i przed nami nieprzeliczona masa ludzka. Pola po bokach co kilkadziesiąt metrów usiane trupami mężczyzn, przeważnie Żydów rozstrzelanych, bo nie mogli iść dalej. Wyszli oni z obozu na parę godzin przed nami.

Na noc zatrzymaliśmy się w pustych szopach. Gdzie kto mógł tak się ułożyć i spać. Niektórym nawet udało się przenocować w prywatnym mieszkaniu, ogrzać i zjeść coś gorącego. Mieszkali tu jeszcze Polacy i chętnie pomagali..

Szliśmy tak przez trzy dni. Otuchy dodawał nam widok uciekających całymi masami Niemców cywilnych z rodzinami i betami, a także niezliczona ilość cofającego się wojska. Szłam ostatkiem sił, kilkakrotnie chciałam usiąść na wóz, na którym jechało kilka starszych panów, a które podobno później zastrzelono. Brzeczuciem wiedziona Bożenka nie pozwoliła, podpierając mnie, sama ledwo żywa.

Po trzech dniach tego okropnego marszu załadowano nas do pociągu na otwarte lory, po 150 osób do każdej, gdzieś na Górnym Śląsku. Wagony stały na wysokości ramion, trzeba było wchodzić bez żadnego schodka. Do dziś nie wiem w jaki sposób wpakowaliśmy się do niego. Miejsca było tylko tyle, by usiąść z kolanami pod brodą. Trzecią część wagonu zajmował SS-man ze swą kochanką Żydówką, także więźniarką, i ogromnym wilczurem. Mieli miejsca aż nadto i dużo słomy. My gnieździiliśmy się w nieprawdopodobnym ścisku na wilgotnym miale węglowym. Znajdowaliśmy się w otoczeniu samych Ukrainek i Żydówek, my dwie Polki pośród nich. Byłam już nieprzytomna ze zmęczenia, szczęśliwa, że mogę siedzieć choć w okropnej pozycji, bez możliwości wyprostowania zboliałych nóg.

Pociąg ruszył i zaczęło się niemożliwe do opisania piekło podróży w straszliwych warunkach. Mimo zmęczenia nie mogłam zasnąć. Patrzyłam na skulone postacie, które śnieg pokrywał białą warstwą myśląc, że to już kres naszej męki. Czy dowiozą nas jako zlodowaciałe trupy, czy zostanie ktoś żywy. Było mi już wszystko jedno co z nami. Pragnęłam w duszy byśmy się więcej nie obudzili i zasnęli cicho pod warstwą śniegu.

Jednak jechaliśmy tak trzy dni nic nie jedząc. Zapasy pogubiliśmy po drodze, resztę pokradły nam Ukrainki. Nie czualiśmy głodu, tylko straszne pragnienie. Od czasu do czasu na stacjach Polacy podawali nam wodę. Dzięki temu, że miałam dużą bankę, korzystano z niej, za co dostałyśmy parę łyków wody od zaborczych i pełnych energii Ukrainek. Pilnowały nas, byśmy nie dawały wody Żydówkom grożąc, że nas pobiją. Jednak nie mogłyśmy pić, widząc wpatrzonych w naczynie z wodą i oblizujących zeschłe wargi Żydówki. Bożenka zasłaniała mnie, a ja dawałam po parę łyków tej i owej. Te same Żydówki w nocy poszczypały i podrapały mnie całe nogi, chcąc zająć moje miejsce, kiedy wstałam na chwilę, by się rozprostować. Przez parę tygodni no-

siłam ślady na nogach. Zabiło to we mnie wszelką litość.

Po trzech dniach załadowano nas do zamkniętych wagonów. Tym razem pilnowaliśmy się, by się znaleźć w otoczeniu Polek. Dano nam suchy prowiant i znów jechałyśmy dalej. Było cieplej, lecz ścisk jeszcze większy i znów gromada Żydówek strasznie wrzaskliwych i nieopanowanych. W nocy obłąkana Żydówka zaczęła mnie drapać po twarzy, dusić i szczypać. Z wielkim trudem uspokoiłyśmy ją. I znów ten koszmar trwał trzy dni, aż w końcu przyjechałyśmy do Bergen-Belsen. Przez parę dni pędzono nas z bloku do bloku, na deszczu, śniegu i mrozie. Wreszcie dostałyśmy miejsce w jakimś bloku. Spałyśmy na podłodze na podściółce z wrzosu, który nazbierałyśmy w lasku obozowym. W tym czasie przyjechała Stenia, nasz obozowy kat. Zaczęły się apele po kilka godzin na zimnie. Co parę dni nie dawano nam jeść przez cały dzień. Stenia wciąż wpadała, by wybierać silniejsze do pracy. Zgłosiliśmy się, same, gdyż te, co pracowały, nie miały przerwy w jedzeniu. Stenia nam odmówiła widząc nasz mizerny wygląd i uważając za niezdolne do pracy.

Rzeczywiście stan nasz był opłakany. Bożenka wciąż gorączkowała, a ja, po tygodniowej podróży na mokrym węglu, miałam rany na całym ciele. Byłyśmy wciąż straszliwie głodne i zmarznięte. Wszelkimi siłami starałyśmy się zachować czystość ciała i odzieży. Myłyśmy się całe na dworze pod rynną lub śniegiem, a mokre rzeczy suszyłyśmy własnym ciałem. Spałyśmy, rozbierając się do koszuli, pod jednym kocykiem i przy otwartych oknach.

Po pewnym czasie przeniesiono nas do baraku żydowskiego. Znajdowało się tam kilkaset Żydówek, większość chorych na durchfal (biegunkę). Znów byłyśmy pod oknem na podłodze, tylko w większym ścisku i nieprawdopodobnym zaduchu. Wreszcie dano nam inny blok z piętrowymi łózkami, gdzie były Polki i Ukrainki. Głód był coraz większy. Chleba nie dawano, czasem tylko kromkę raz na trzy tygodnie. Polki ginęły, nie było dnia, by nie wynoszono trupa, wyglądającego jak szkielet. Ukrainki miały się dobrze. Większość pracowała w kuchni, dla swoich przynosiły mnóstwo jedzenia.

Bożenka nikła w oczach. Miała stale wysoką gorączkę ponad 38 stopni. Stała na apelach, do rewiru nie chciałam jej dać, bo tam się szło na wykończenie. Przed każdym blokiem rewirowym rosły codziennie sterty trupów. Z rozpaczą patrzyłam na Bożenkę, wyglądała jak cień. W twarzy widać było oczy błyszczące gorączką i kości policzkowe powleczone skórą. Chwiała się na nogach, prawie całe dni spędzając na pryczy. Rece mi opadały. Zgłaszałam się do noszenia kotłów z obiadem, by dostać więcej zupy. Nie mogłam dać sobie rady, sama ledwo żywa przynosiłam

kotły, zaciskając zęby, potem rzucałam się na prycze, nie mogąc przyjść do siebie.

Niewiele pomogły moje wyczyny, porcje były coraz mniejsze. Śmierć głodowa zbliżała się szybkimi krokami. Byłam bezsilna, pozostała mi tylko modlitwa. Modliłam się gorąco, by Bóg zlitował się nad nami i uratował nas, skoro przetrwałysmy tyle.

Pewnego dnia zobaczyliśmy Niemców w białych opaskach na ramieniu. Nadzieja wstąpiła w nasze serca. Bożenka ostatkiem sił za moją namową zwlekła się siłą woli z pryczy. Za chwilę ujrzałyśmy Anglików wjeżdżających wojskowym samochodem do obozu. Na stopniu auta stał nasz komendant Kramer, nasz tyran. Nie jestem w stanie opisać radości, jaka wstąpiła w nasze serca. Wszystkie półtrupcy ożyły. Biedne, wynędzniałe twarze zalane łzami radości, promieniowały. Skończyła się nasza męka, jesteśmy uratowane i w duszy dziękujemy Bogu.

Już nie czułyśmy głodu. Zapowiedziano nam przez megafon, że idą całe transporty żywności i za parę godzin dostaniemy jedzenia wbród. Na drugi dzień z samego rana przyjechały całe masy Anglików. Bez przerwy wydawali jedzenie, nie ustając ani na chwilę w pracy. Widzę ich wciąż przed oczyma jak z dobrotliwym uśmiechem chodzili z olbrzymimi łyżkami i dolewali jedzenia wygłodzonemu biedakom. Za parę dni zaczęto wywozić chorych do szpitali. Brudnych, cuchnących, zawszonych biedaków przenosili na własnych rękach do ambulansów. Podziwiałam ich ofiarność i przyglądałam się z zachwytem.

Zaczął się inne życie. Obóz szalał wolnością. Słychać było śpiewy, śmiechy, gwar do późnej nocy. Przenieśliśmy się do lepszego bloku, a wkrótce później do domku, w którym dawniej mieszkali podoficerowie niemieccy. Mieliśmy porządne, prawdziwe łóżka, pościel, radio i miłe otoczenie. Przychodziłyśmy pomału do zdrowia. Wyniszczenie nasze było zbyt wielkie, parę tygodni potrafiło zanim przyszliśmy do siebie i wyglądały bardziej podobne do normalnych ludzi. Pierwszą myślą było nawiązanie kontaktu z Tobą, Tadku. Wysłałyśmy list i czekały niecierpliwie na odpowiedź. Przyszło ogłoszenie w gazecie, że nas poszukujesz. Szczęście nasze nie miało granic. Wszystkie przeżycia poszły w zapomnienie. Wszystko było nieważne, ważne jedynie, że jesteś, że żyjesz. To, co tu napisałam, jest tylko garścią moich wspomnień nieudolnie pisanych, bo nie da się opisać piekła, jakie przeszłyśmy, brak słów, by przedstawić całą grozę pobytu w Oświęcimiu i Bergen-Belsen. Resztę opowiem Ci ustnie.

Stella, Maczków (Niemcy)

16/XI/1945